

8.

Ogień. Krew. Płacz. Krzyk. Ból. Strach. Co jeszcze może mnie spotkać? pomyślał Jimmy, umierając. Może już się z tym pogodził? Nigdy nie przypuszczał, że przyjmie to z taką łatwością. *Odchodzę.* Teraz był o tym przekonany i to przyprawiło go o poczucie samotności. Wcale nie chciał umrzeć samemu. Powinna być przy nim teraz matka, albo Charles. Przecież miał dopiero czternaście lat. Tak nie powinno być. To nie w porządku.

Jimmy wciąż oddychał. Co prawda, płuca zmieniały się w ciężkie snopy lodu, a gardło ścisnęło się w wąską rurkę, ale tlen jakimś cudem się przez nią przedostawał i wypełniał Jimmiego, niosąc ze sobą zarówno ulgę, jak i lęk. Lęk w postaci natrętnego pytania, które okropnie bolało.

Dlaczego to wszystko jeszcze trwa? Bezustannie mu towarzyszy, jakby jego życie jakoś nie potrafiło się skończyć. Jakby sam los nie mógł się pogodzić ze swoją decyzją.

Oddech zatrzymał się. Nieoczekiwanie. Bez pożegnania, czy jakiegokolwiek ostrzeżenia, po prostu przestał istnieć. Płuca również zniknęły. Stopy...gdzie one są? Gdzie się podziały? A co z dłońmi?

Jego ciało ulatywało, w wieczności, w pustce. Myślał o Charlesie. O swojej matce. O Juli.

Co miał teraz niby zrobić? Czekać tak po prostu, aż śmierć go pochłonie? Zapomnieć o życiu, tak jak idąc przez trakt zapomniał o nieudanym polowaniu? Tak po prostu pozwolić, by wszystko się skończyło?

Z drugiej strony to przecież wcale nie takie trudne. Wystarczy by na chwilę zamknąć oczy.

Ale on po prostu nie potrafił.

W końcu jednak ktoś zrobił to za niego.

9.

Ocknął się. Oczy wciąż miał zamknięte.

Na początku sądził, że jest w niebie, albo, że trafił do jakiejś innej mitycznej krainy. Z opowieści swojej babci wiele słyszał o raju, o wieczności i nowym życiu, które nastąpi, kiedy przekroczy bariery umysłowe.

Przez moment czuł nawet ulgę, połączoną, ze szczęściem. Myśl, że zaraz spotka się z mamą, Charlsem i siostrą, że dalej będą cieszyć się przy przy wspólnej kolacji, a całe to cierpienie uleci, niczym zły sen, ot zwykły koszmar. Ale wiedział, że to nieprawda.

Rozległ się szelest. Otworzył oczy. Wten uderzył go ból. Jimmy jęknął. Łzy poleciały mu z oczu. Strumieniem.

Ogień rozpalił się w jego żołądku i dosięgnął płuc. A potem spalił gardło i przeszedł ognistą falą przez jego usta. Wylądował wśród krzewów i chaszczki, oplatających ciało Jimmy'ego.

Jimmy jęknął po raz drugi. Tym razem z powodu żalu, który go pożerał. Przytłaczała go wiadomość, że szpony śmierci zostawiły go tu, samotnego, zmarzniętego i dławiącego się własnymi wymiocinami.

No tak,. Czy to moja krew? Czy to moja krew, mamo?

Jakaś czerwona, gęsta wydzielina oplamiła długie, trawiaste łodygi. Widniały na niej znamiona czerni i szarości. Jimmy'emu zrobiło się nie dobrze.

Zwymiotował drugi raz. Natychmiast chwycił go duszący kaszel, jakby czyjaś pięść zacisnęła się mu na gardle. Spuścił powieki. Wolał odwrócić wzrok i wymazać to z pamięci. Wyobrażnia jednak bez ustanku, złośliwie podsuwała mu ten straszliwy obraz: Krew, prawdziwa, ciemna, zdołająca krzewy i chaszczki krew. Jego krew.

Owiał go chłód. Dreszcze przeszły jego ciało, a płuca wróciły do swojej dawniejszej formy - snopów lodu.

Jimmy nagle zaczął się trząść. Jego dłonie wykręciły się w skurczu, mięśnie łydek spięły się i dygotały, żołądek ścisnął się w pięść i eksplodował. Jimmy usiłował nad tym zapanować. Usiłował powstrzymać tę falę zimna i słabości, jaka bez trudu przenikała jego ciało. Czy on wogóle jest w stanie walczyć? Może niech się podda? Niech przestanie i odpuści?

Chłopiec ukryty w gęstym polu, leżał na mokrej ziemi, wijąc się i drżąc. Co mu zrobili? Czy przedziurawili mu żołądek? Czy rozplatali jego ramię? Tego nie wiedział i wolał nie wiedzieć. Póki co ujrzał tylko krew. Krew płynącą z ust.

Nie mogli tego zrobić. Charles mówił, że jestem inny. Że, kiedy Wieczna Straż nadejdzie, nie skrzywdzi mnie.

Najwyraźniej się mylili. Bardzo się mylili.

Czy odnajdą go? Wśród gęstwiny, gdzie upadł, uciekając przed śmiercią?

Jimmy wykorzystał resztki swoich sił, by rozbudzić wspomnienia i porzucić mrok, który z pewnością nadejdzie. Stracił je, by skupić się na oddechu, tak jak to wiele razy nakazywała mu matka. Pamiętał jej słowa: Wdech wchodzi. Widzisz go? A teraz wychodzi. Wszystko będzie dobrze, synku. Wszystko będzie dobrze.

Tylko, że teraz nic nie było dobrze.

Te słowa wydawały się jedynie czystym kłamstwem. Tłumił je ból. Głęboka, długa i ropiejąca krwią szrama sprawiała, iż kojący głos załamywał się po każdym spazmie, wstrząsającym płucami Jimmy'ego.

Jimmy powinien teraz walczyć. Powinien podnieść się z mokrej trawy i szukać pomocy. Na polowaniach Charles setki razy mówił mu, że Jimmy jest twardzielem. Czy się mylił? Przecież nawet mistrzowie popełniają błędy, a później tego żałują.

Jednak, gdzieś, w głębi, która nie została uszkodzona i zraniona, Jimmy wierzył, że przeżyje. I, że, tak jak zapewniała go mama, *wszystko będzie dobrze synku.*

Po pewnym czasie porwała go nieświadomość.

10.

W głębi lasu, daleko za polaną, pożar trawił miasto, złożone z zbudowanych w rzędzie niewielkich domków, wież i budynków. Trawił również zamieszkujących ją ludzi i ich zwierzęta. Był bezwzględny, równie bezwzględny, jak istoty, które go wywołały.

Wieczna Straż mijała okoliczne tereny, krążyła wzdłuż lasu i przemierzała dróżki. Wielu Strażników zostało w mieście, by przeszukiwać zwęglone domy, by zabijać tych, którzy uniknęli ostrzału Kwantowych Promieni, chemicznego gazu i rozprzestrzeniającego się wokół, ognistego potwora, pożerającego wszystko, co stało na jego drodze. Wśród nich znalazły się kobiety, czołgające się przez oszronione błoto, ich dzieci, które nawet nie wiedziały, co się dzieje i zdesperowani ojcowie, próbujący biec, mimo utraty nóg, kończyn, czy jelit. Byleby ocalić swoją rodzinę.

Wtedy zjawiał się Promień Kwantowy i udaremniał ich wysiłek. Zabierał im życie, jakby nic nie znaczący. Jakby było kawałkiem śmiecia. Wieczna Straż czyniła tak bez skrępowań.

Wokół rozchodził się gęsty i czarny dym, zasłaniający wschodzące słońce. Pochłaniał drzewa i wzbijał się ku niebu. Wicher rozrzucał tumany pyłu. Chemicznego Pyłu, przed którym nikt nie mógł się uchronić. Nawet twardziele.

Pomnik Wiecznych, osamotniony pośród ruin, przypominał teraz zwęgloną górę sadzy, na której szczycie tlił się ogień. Wokół pomnika, na spękanych, pełnych szczelin bruku, leżeli ludzie. Wszyscy martwi.

Tu, w centrum panowała cisza.

Na obrzeżach, przy bramie, walczyli jeszcze strażnicy, oraz ci, którzy mieli nadzieję, że powstrzymają Wieczną Straż. Tam rozchodził się głównie ryk i płacz. Oraz strzały. One były najgłośniejsze, bombardowały ciszę swoim łoskotem, sprawiając, że domy, do tej pory odporne nawet na huragany, rozpadały się, niczym zbudowane z talii kart. Ziemia dygotała i trzaskała. Ogrody, sady i biegnące wzdłuż granicy muru pola winorośli trawiła ognista bestia, raptownie zbliżając się do innych domów.

Dalej, w lesie, przez rzędy jodeł i grube ściany zieleni przebijał się dźwięk wrzasków, i dźwięk pełen cierpienia, które odstraszało kruki, a przywoływało sępy.

To wszystko, skąpane w dymie i odorze tak okropnym, że ranił płuca, trwało długo, aż czas praktycznie stracił znaczenie.

Skończyło się dopiero wtedy, gdy już nikt nie uciekał. Gdy już nikt nie krył się, przygnieciony stertami drewna i kamieni. Gdy już nikt nie konał z bólu, czołgając się i błagając o to, by któryś z Wiecznej Straży strzelił mu w skroń. Gdy już nikt nie żył.

Chociaż nie do końca. Wieczna Straż przeoczyła kogoś. Kogoś bardzo ważnego. I zniknęła jeszcze zanim blask zalał wzgórze.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

PrzemeK155J, dodano 12.11.2019 09:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.